

NA  
DRUGIM  
KONČU  
LATA



E M M A M I L L S

# NA DRUGIM KONCU LATA

tłumaczył  
Miłosz Urban



Media Rodzina

Tytuł oryginału *THIS ADVENTURE ENDS*

Copyright © 2016 by Emma Mills  
Copyright © 2022 for the Polish translation  
by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt okładki  
Mallory Grigg

Adaptacja okładki, skład i łamanie  
Radosław Stępnik

Fragment z *From the Mixed-Up Files of Mrs. Basil E. Frankweiler*  
E.L. Konigsburg w tłumaczeniu Miłosza Urbana

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości  
albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach  
i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie  
pismennej zgody wydawcy.

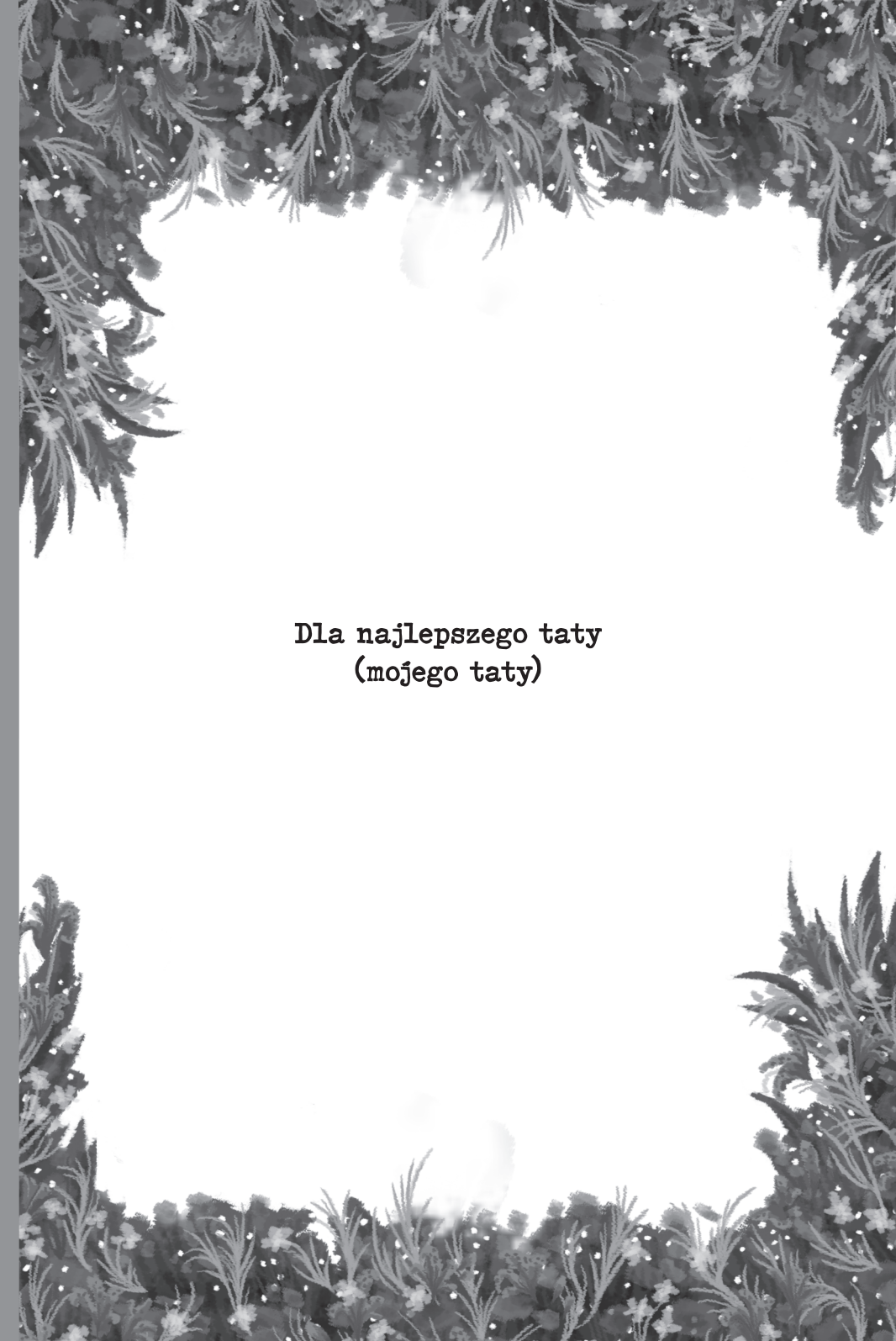
ISBN 978-83-8265-118-8

Książkę wydrukowano na papierze Lux cream 80g 1,6  
dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.

Media Rodzina Sp. z o.o.  
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań  
tel. 61 827 08 50  
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie  
pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa,  
przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz  
praw autorskich, nabywasz książki legalnie i nie udostępniasz ich  
publicznie, np. w Internecie. Dziękujemy za to, że w ten sposób  
wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.



Dla najlepszego taty  
(mojego taty)



Przygoda dobiegła końca. Taki jest bieg  
rzeczy, choć czujemy niedosyt. Tylko to,  
co nosisz w sercu, zostaje na zawsze.

E.L. Konigsburg  
*From the Mixed-Up Files of  
Mrs. Basil E. Frankweiler*





## ROZDZIAŁ

# — 7 —

Duszę się.

Bree zaciągnęła mnie na domówkę, ale w środku jest zbyt gorąco. I wszystko mnie przytłacza.

Nie lubię bywać w domach obcych ludzi, choć to bardzo delikatnie powiedziane. Zdjęcia na czyjejś lodówce, bibeloty na kominku, to, czy papier toaletowy wisi do ściany czy od ściany... to zbyt osobiste sprawy. Jako ktoś z zewnątrz, a jednocześnie tak blisko, czuję się, jakbym naruszała ich prywatność.

Nie mogę tego powiedzieć Bree. Dlatego przysłuchuję się kolejnej rozmowie o tym, że Jen i Asher z grupy na matmie w końcu „oficjalnie ze sobą chodzą” („A wcześniej nieoficjalnie pełzali?” — pytam, ale nikt się nie śmieje), a potem wycofuję się w stronę kuchni, by wymknąć się tylnymi drzwiami.

Niestety, ucieczka jest niemożliwa.

— Ej, przecież nic się nie stało — tłumaczy chłopak, usiłując przekrzyczeć ogólny gwar. Najwyraźniej jednak coś się stało, bo dookoła zebrała się grupa ciekawskich. To taki chór szekspirowski, który pojawia się znikąd na tego typu imprezach, by obserwować, oceniać i później zdawać relację.

Do Grove County High School przeniosłam się ledwie trzy tygodnie wcześniej, ale poznaję typa, który bagatelizuje

sytuację, bo chodzę z nim na zajęcia z rozszerzonej biologii. Ma na imię Mason i siedzi przy stanowisku laboratoryjnym naprzeciwko mnie.

Od razu rozpoznaję w nim też typ bohatera z książek mojego taty. Już całkiem niedługo Mason, jako syn lokalnego szeryfa, może walnąć na odlew w twarz córkę pastora. Albo jako były rozgrywający szkolnej drużyny futbolowej będzie szukał zemsty za jakiś zawód miłosny. W powieściach Everetta Fincha roi się od takich gości, którzy zazwyczaj kończą w płomieniach.

— Ona nie chce z tobą gadać — odpowiada chłopak naprzeciwko Masona.

— A skąd ty to niby wiesz, co? Telepatia bliźniaków? Jak ktoś do niej podbija, to też coś czujesz?

Chłopak milczy, ale w jego oczach widzę niemą wściekłość i wiem, że na miejscu Masona wołałabym z nim nie zaczynać.

— Serio mówię, powinieneś mi podziękować — ciągnie Mason — bo wierzę, że jeszcze nie jest stracona. Mógłbym ją przekonać, żeby zmieniła zdanie.

Po czym zbliża się do chłopaka, prowokując krótki, ale zdecydowany komunikat:

— Spadaj.

— Bo co?

Cisza.

— Co mi zrobisz? — powtarza Mason i podchodzi jeszcze bliżej. Scena wygląda tak, że w innych okolicznościach tylko sekundy dzieliłyby ich od gorącego pocałunku. Mason

uśmiecha się szyderczo. — To na ciebie działa? Też masz na odwrót podłączone kabelki?

— Spadaj — powtarza chłopak.

— Daj spokój, i tak mi nie podskoczysz. A chcesz wiedzieć, skąd to wiem?

Chłopak nie odpowiada, więc Mason unosi ręce, chwytając jego głowę i zmusza do potaknięcia.

— Tak, Masonie, chcę wiedzieć. — Udaje jego głos, a następnie opiera kciuk i palec wskazujący na policzkach chłopaka. — Bo jesteś, kurwa, dobrze wychowanym dzieckiem, Fuller! — mówi, akcentując każde słowo.

Chłopak dalej się nie rusza i może — jeśli Mason ma rację — nie podskoczy napastnikowi. Może jest zbyt opanowany. Ja nie jestem.

— Sorry! — mówię i przeciskam się między gapiami. — Przepraszam, ups, sorry! Nie chcę wam przeszkadzać. Tylko że... ty tak na serio?

Mason przenosi na mnie wzrok, ale cały czas trzyma nieznanego chłopaka za twarz. Spod szyderczego uśmiechu powoli przebija zaskoczenie. Dziewczyna się do niego odezwała. Pierwsza. Z własnej woli. Widzę to w jego oczach i wiem już, jakich słów użyć.

Tłumię w sobie wzburzenie i udaje mi się nawet uśmiechnąć. Unoszę dłoń i oplatom palcami jego nadgarstek. Mięki, delikatny dotyk. Nie protestuje, kiedy odsuwam jego dłoń.

— Twoje ręce... one przecież nie są stworzone do takiej brutalności, prawda?

Nie odrywa spojrzenia od moich palców, kiedy splatam dłoni z jego dłonią.

— Twoje palce... ich przeznaczeniem są pieśczozy... — ciągnę.

— Co ty nie powiesz? — Mason uśmiecha się głupkowato. Jego ofiara stoi z boku, zupełnie zapomniana.

— O tak — zapewniam go. — Co noc. Przed telewizorem. W samotności.

Mason potrzebuje chwili, by zrozumieć znaczenie moich słów, ale niemal natychmiast dookoła rozlegają się radosne buczenie i słabo tłumione chichoty.

— Ostatecznie też mógłbyś je wykorzystać, żeby złapać trochę inteligencji albo RiGCzu.

Reakcja gapiów, która wybucha ze zdwojoną siłą, brzmi teraz jak śmiech z puszki w sitcomach. Mason wyrzywa swoją dłoń.

— Coś ci nie pasuje? — pyta.

— Tak, twoja twarz — odpowiadam, bo tak właśnie zareagowałaby moja młodsza siostra Laney.

— Pieprz się — mówi, ale jest już za późno, stracił władzę nad publiką. Dookoła słychać szepty i gwar. — Pieprzę to. — Uśmiecha się przesadnie szeroko. — Kupiłeś sobie psa obronnego, Fuller? Czy to zwykły piesek? — dodaje, jakby mógł w ten sposób obrazić moje uczucia. Ale do tego musiałabym je mieć.

Nie reaguję, więc Mason potrząsa głową i odchodzi, a grupka dookoła natychmiast się przeredza. Odwracam się i szukam wzrokiem zaatakowanego chłopaka, ale on też już sobie poszedł; tylnymi drzwiami wyszedł do ogrodu.

Obok pojawia się Bree, w dłoni trzyma kubek jednorazowy. Ma rumieńce na policzkach i uśmiecha się radośnie.

— Rany... ale akcja... w Nowym Jorku tak sobie jedziecie? Uczyli was tam tego?

Właśnie. Proszę, tutaj masz kartę do metra, a tutaj instrukcję, jak pocisnąć tępemu ziomkowi.

— Nie wytrzymałam. Gość zachował się jak przygłup.

Bree kręci głową i nie przestaje się uśmiechać.

— Ostro.

— W sensie?

— Gabe Fuller. — Wskazała dłonią na tylne wyjście, gdzie zniknął zaatakowany chłopak. — Stałaś w obronie Gabe'a Fullera.

— No... — Nie wiem, jak zareagować.

Podchodzi jakiś chłopak, którego ledwo kojarzę z lekcji literatury, i unosi dłoń.

— To było niezłe — mówi.

Przybijam mu piątkę i nagle znów czuję się osaczona, jakby wszystkiego było za dużo i zbyt blisko. Mruczę jakieś przeprosiny i idę do drzwi.

Na zewnątrz jest spokojnie. Słyszę tylko świerszcze i plaśnięcie skóry o skórę od strony huśtawki, na której jakaś parka konsumuje wieczór. Skrzypią łańcuchy, na których wisi siedzisko, ona zmienia pozycję, on się dopasowuje. Jedno z nich wzdycha, przeciągle i miękko.

Nie zwracam na nich uwagi i zaciskam palce na poręczy. Nocne powietrze jest ciężkie i wilgotne, ale kilka głębokich oddechów przywraca mi równowagę.

Teren za domem porastają rachityczne drzewa, widać, że ktoś usiłował urządzić tu ogród — pergola obrosnięta winoroślą i kilka wyglądających na kolczaste krzaków. Kępy trawy wyrastają z typowego dla tej części Florydy gruntu, który składa się głównie z piasku zasłanego opadniętymi liśćmi dębów. Wszystko błyszczący w świetle zamontowanego nad garażem reflektora z czujnikiem ruchu. Błasku wystarczy, by z mroku wyłowić wyraźnie dwie postaci na końcu podjazdu.

Są zbyt daleko, bym słyszała, o czym mówią. Tak po prawdzie to i tak nie mój biznes. Mimo to schodzę z tarasu i ruszam w ich stronę.

— Mówiłam ci, że nie ma co chodzić na imprezy nieautoryzowane przez Franka — mówi dziewczyna, kiedy jestem blisko. Może mnie nie widzieć, bo skrywam się w cieniu pergoli.

— Po co w ogóle się do niego odzywałaś?

— On pierwszy do mnie zagadał. Przecież nie będę ignorowała ludzi dookoła, Gabe! Nie wszyscy możemy zlewać innych.

— Na przyszłość się postaraj. Patrz na nich, ale staraj się zobaczyć to, co jest za nimi. I to też olewaj.

— Genialne i zdrowe podejście. Umiejętności społeczne level over 9000.

— Mason Pierce nie zasłużył na twoje umiejętności społeczne. Nie zasłużył na włosy wyjęte z odpływu brodzika po twoim prysznicu.

— A kto na nie zasłużył? Mam je wysłać do Tash? Może zostawić trochę dla ciebie?

— Ty chyba...

Nie kończy zdania, bo nagle oboje dostrzegają moją obecność.

Z jakiegoś powodu Gabe na mój widok wpada w jeszcze większą złość. Nie jest to jeszcze wściekłość, ale na pewno nieskrywana wrogość.

Za to ona uśmiecha się do mnie szeroko. Twarz jej promienieje.

— Hej! To ty!

Brzmi to tak dziwnie — trochę jakby się mnie spodziewali — że potwierdzam skinieniem głowy.

— No, ja.

— Niepotrzebnie się wtrącałaś — mówi Gabe.

— Dzięki — poprawia go dziewczyna. — To miał na myśli.

— Nie potrzebowałem niczyjej pomocy — powtarza chłopak i z jakiegoś powodu jego wkurzenie działa mi na nerwy. Okej. Wtrąciłam się. Spacyfikowałam agresora. Choć mogłam go minąć i olać jak cała reszta Zakonu Czerwonych Jednorazowych Kubków. — Dałbym sobie radę sam. Miałem wszystko pod kontrolą.

— Ten moment, jak ci ugniatał buzię jak plastelinę, to był jeden z ważniejszych elementów twojego planu?

Dziewczyna parska śmiechem, a Gabe rzuca mi złe spojrzenie.

— Nie było sprawy — ucina. — Następnym razem się nie wtrącaj.

Potakuję.

— Wporzo. Jasne — Ale nie potrafię tego tak po prostu odpuścić. — Jeśli coś może uratować ten świat, to jeszcze więcej milczących świadków niesprawiedliwości, prawda? W ONZ powinni się od ciebie uczyć. I w Amnesty International. Zapomnij o tych śmiesznych świeczkach owiniętych drutem kolczastym — od teraz ich symbolem powinien być oparty obojętnie o ścianę gość, z założonymi rękami, a w dymku napis: „Chcesz pomóc? Poczekaj, aż ci przejdzie”. Ktoś powinien skontaktować cię z fundacją Gatesa, żebyś im to podsunął.

— Nie to miałem na... — Gabe próbuje się bronić, ale jak już się rozkręca, to trudno mnie zatrzymać.

— Przy okazji, wiem, że naukowcy są zawałeni robotą, próbując wynaleźć lek na raka, ale może po prostu nie wiedzą, że w tej sytuacji nie powinni się angażować...

— Ja tego nie powiedzia...

— Pracownicy organizacji humanitarnych! — wołam, jakby otaczał nas tłum. — Odłóżcie strzykawki i stetoskopy, bo od teraz działamy zgodnie z dewizą „nie pomagaj”...

— Dobra już, dobra! — mówi głośno. — Okej? Dotarło. Przepraszam. I dzięki. Za pomoc. Poważnie. Dzięki. Tylko już skończ gadać.

Dziewczyna wybucha śmiechem. Gabe gromi ją wzrokiem.



— Sorry — mówi. — Tylko... twoja mina... Boże... To było dobre. — Potem celuje we mnie palcem. — Jesteś boska. Zostajesz. Zatrzymujemy cię.

Gabe spogląda to na nią, to na mnie, a ja przez chwilę mam wrażenie, że sam zaraz wybuchnie śmiechem. Zaczynają mu drżeć usta, a w kącikach oczu pojawiają się delikatne zmarszczki. Odwraca głowę. Zupełnie jakby ktoś rozbrował mu w głowie bombę. Jakby przeciął właściwy przewód.

— Czekaj, a my się w ogóle znamy? — pyta.

— Sloane — odpowiadam.

— Gabe. Fuller. A to Vera — dodaje, wskazując na dziewczynę. W słabym świetle reflektora znad garażu dostrzegam, że są do siebie podobni — mają taką samą linię nosa i usta. Telepatia bliźniaków. Mason użył takiego wyrażenia. Dwie pary ciemnych oczu spoglądają na mnie spod gęstych rzęs i brwi, które są jednocześnie imponujące i onieśmielające.

— Miło cię poznać — mówi Vera i trąca brata łokciem. — Prawda?

— Pewnie — potwierdza chłopak. A potem patrzy na siostrę. — Idę już. Wrócisz z Aubrey, czy...

— Nie, poczekaj, jadę z tobą. Hej, Sloane, podrzucić cię gdzieś?

— Dzięki, kogoś przywiozłam.

— W porządku. Okej. — Vera spogląda na Gabe'a, który patrzy w stronę garażu. — Jeszcze raz dzięki!

— Nie ma o czym mówić. Wykonuję tylko swoją pracę.

— Jak to? — W oczach Very pojawia się zagubienie.

— No wiesz... to tylko... tak się mówi... Robię, co do mnie należy... a do rachunku proszę doliczyć napiwek...

Vera uśmiecha się szeroko.

— Okej. Łapię. Dobra jesteś. — Znow spogląda na brata, ale Gabe nie reaguje. Znow ma zaciśnięte szczęki. — To co, widzimy się w szkole?

— Pewnie. Poznacie mnie po tym, że wyglądam jak ja.

Dziewczyna znow się śmieje, a mnie z tym dziwnie dobrze. Od dawna nie miałam tak wdzięcznej publiczności. Laney lubi moje głupie żarty, ale ona ma dopiero dziewięć lat.

Vera żegna się ze mną uśmiechem, chwytając Gabe'a za ramię i razem ruszają w stronę domu, a ja zostaję sama.

Sama z obściskującą się parką na huśtawce, poprawiam się w myślach, ale kiedy się odwracam, ich też już nie ma. Może zwiali, słysząc moją przemowę do pracowników organizacji humanitarnych. Kto wie.

Wracam na taras i siadam na wolnej huśtawce. Skrzypi trochę, kiedy zaczynam się kołysać. Łańcuchy budzą obawę, że mogą nie wytrzymać kolejnej sesji gorących amorów.

Sprawdzam telefon. Cztery po wpół do dziesiątej. Zakładam, że uszczęśliwię mamę, jeśli zostanę do dziesiątej.

— Powinnaś pójść — naciskała, kiedy wspomniałam o dzisiejszej imprezie. — Poznasz nowych ludzi. Rozerwiesz się!

Wcześniej, w naszym domu, mówiła do mnie podobne rzeczy. Dlatego zareagowałam standardowym:

— Na takich imprezach zawsze jest śmiertelnie nudno.

— A jeśli tym razem będzie inaczej? Nie przekonasz się, jeśli nie spróbujesz — odpowiedziała. — Nie wiesz, jak będzie tutaj.

No dobra, miała rację. Może tutaj będzie inaczej. Koniec końców, na to właśnie liczę.